

Kłopoty mają jak w banku

Kiedy brali kredyty, słyszeli, że frank to najpewniejsza waluta. Tylko nikt im nie powiedział, jak niepewny jest złoty, za który franki muszą kupować. Teraz płacą horrendalne raty. I skarżą do sądu banki, które wcisnęły im te „tanie” pożyczki.

ANNA SZULC, zdjęcia BOGDAN KRĘŻEL
I MARCIN KAROLAK

TOMASZ SADLIK zawarł z bankiem umowę na 32 lata. Wtedy miesięczna rata kredytu wynosiła 2,3 tys. Dwa lata temu rata podskoczyła do 5,5 tys. złotych, a z 600 tys. zł długu zrobiło się 900 tysięcy

Macieja Kwapińskiego z Poznania i Tomasza Sadlika z Krakowa nie łączy w zasadzie nic. Poza tym, że obu po nocach śni się ten „franciszek”, „franio”, względnie „franca”. Obaj, podobnie jak 700 tys. Polaków, wzięli kilka lat temu kredyt w szwajcarskiej walucie. Frank kosztował wtedy najwyżej 2,5 złotego. Teraz wielu płaci raty kredytu o dobrą połowę wyższe niż w dniu podpisania umowy.

Kwapińskiego i Sadlika łączy jeszcze jedno: jako pierwsi w Polsce chcą udowodnić, że nie powinni ponosić winy za wzrost kursu franka. Być może przygotowują właśnie grunt pod pozwy zbiorowe przeciw bankom. Być może uruchamiają lawinę.

Miły doradca

- Wierzę w tę lawinę. Muszę w nią wierzyć, bo nic innego mi nie pozostało - przyznaje Tomasz Sadlik, znany krakowski tłumacz przysięgły z języka hiszpańskiego i francuskiego, przedstawiciel handlowy rządu Aragonii, a także pisarz. Właśnie wyprowadza się ze swojego biura w centrum miasta, bo bank chce mu je odebrać za długi. Co gorsza, ostrzy sobie też zęby na jego mieszkanie.

Zdesperowany Sadlik zdecydował się na walkę: złożył w sądzie pozew, w którym domaga się unieważnienia umowy kredytowej zawartej z bankiem w 2007 roku. To był kredyt we frankach, w przeliczeniu na złotówki wyniósł 600 tys. Za tę sumę Sadlik kupił, a potem wyremontował lokal na biuro tłumaczeń. Wcześniej myślał wprawdzie o pożyczce złotówkowej, choć rata byłaby o 400 złotych większa, ale w końcu uległ argumentom doradcy finansowego, że frank będzie znacznie lepszy.

- Nie jestem specjalistą od ekonomii, tylko humanistą. A ten miły doradca bankowy wprowadził mnie, jak teraz sądzę, z premedytacją w błąd. Zapewniał, że taki kredyt mi się opłaca, będę płacił mniejsze raty. Przekonywał, że frank to waluta stabilna. Nie usłyszałem słowa o ryzyku - wspomina Sadlik.

Nie on jeden. Kredyty we frankach Polacy bra-

li od 2004 roku, najwięcej w latach 2006-2008. Frank kosztował wtedy najwyżej 2,6 zł i spadał. Potem przestał spadać i zaczął drożeć. Dziś kosztuje prawie 3,5 zł.

Tomasz Sadlik zawarł z bankiem umowę na 32 lata. Twierdzi, że wtedy miesięczna rata kredytu wynosiła 2,3 tys. Rok później skoczyła do trzech tysięcy. To jeszcze nie był problem, tłumacz zatrudniał wtedy pięć osób, zarabiał rocznie 200 tys. złotych. Gorąco zrobiło się dwa lata temu, gdy rata podskoczyła do 5,5 tys. złotych, a z 600 tysięcy długu w banku zrobiło się 900 tysięcy.

I wtedy Sadlika dopadł kryzys. Ten europejski, a przede wszystkim hiszpański. Z powodu braku zleceń musiał zwolnić wszystkich pracowników, jego dochody spadły do kilku tysięcy miesięcznie. Nie tracił jednak nadziei. Napisał pismo do banku z prośbą, by rozłożono mu dług na więcej lat.

Ofiary franka

- Miałem też inne pomysły, jak wyjść z tarapatów. Zaproponowałem np. bankowi, że mogę tłumaczyć na jego potrzeby, w końcu robię to dobrze. W odpowiedzi bank wpisał mnie na listę dłużników BIK, po czym natychmiast kazał spłacić prawie pół miliona złotych - mówi rozgoryczony Sadlik. A od tego samego doradcy, który wcisnął mu pożyczkę we frankach, usłyszał: masz pan już u nas 900 tys. długu, więc sprzedaj biuro. I jeszcze oddaj hipotekę mieszkania.

Tłumaczowi posypały się nie tylko finanse, lecz także życie. Rozstał się z żoną, wpadł w depresję. A potem zaczął szukać informacji o ludziach w podobnej sytuacji. I dowiedział się, że już w 1999 roku Sąd Najwyższy Francji unieważnił umowę kredytową w obcej walucie, bo była zbyt ryzykowna i uderzała w interesy kredytobiorcy. Że tak samo postąpiły sądy w Belgii. W Chorwacji z kolei sąd pierwszej instancji nakazał ośmiu bankom przeliczenie kredytów zaciągniętych we frankach na miejscowe kuny. I to po kursie, który obowiązywał w dniu zaciągania przez klientów kredytu! Nie mówiąc już o Węgrzech, gdzie premier Viktor Orbán co rusz obiecuje „ofiaram franka” pomoc w spłacie wysokich rat (inna sprawa, że na obietnicach się kończy). A na koniec Sadlik przeczytał, że w Barcelonie na początku tego roku sąd unieważnił pewien kredyt walutowy, bo uznał go za ▶

► „instrument spekulacyjny”. To właśnie wtedy postanowił przetrząść się z czytania na pisanie. Konkretnie pozwów do sądu.

- Zrozumiałem, że w Hiszpanii zauważono to, co ja intuicyjnie przeczuwałem. Że kredyty takie jak mój nigdy nie były uczciwą bankową pożyczką o przewidywalnych, możliwych do udźwignięcia przez dłużnika ratach. Że to było oszustwo pod płaszczykiem kolorowych reklam, firmowanych przez celebrytów. Hazard, na który banki skazały mnie i wielu innych Polaków - tłumaczy.

Straty ludzi

A może przesadza? Zdaniem prof. Witolda Modzelewskiego, prawnika i współtwórcy Instytutu Studiów Podatkowych, wcale nie. - Kredyty we frankach udzielane przez banki w Polsce miały cechy zakładu bukmacherskiego. Banki doskonale o tym wiedziały, klienci wcale. Nie mieli pojęcia, że uczestniczą w swoistej ruletce - mówi.

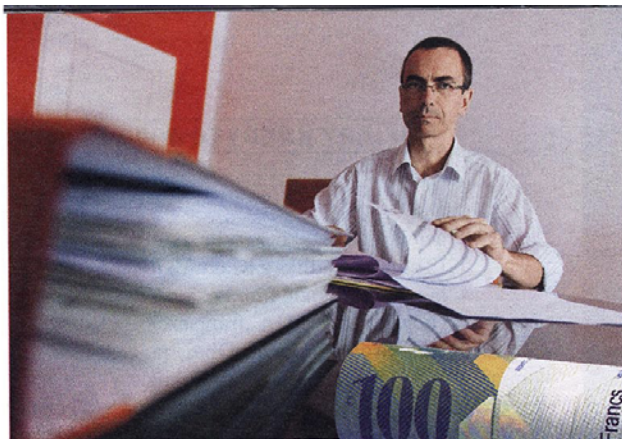
Podobnego zdania jest prof. Krzysztof Rybiński, ekonomista, były wiceprezes Narodowego Banku Polskiego.

- Nie wierzę, że doradcy finansowi nie wiedzieli o ryzyku, na jakie narażają klientów. Wykorzystywali fakt, że Polacy nie znają się na ekonomii, że połkną haczyk, jakim jest „tani” kredyt - mówi.

Aby zdobyć poparcie ludzi takich jak Sadlik, także nasi politycy - od PiS po Ruch Palikota - obiecują, że jak dojdą do władzy, stworzą system pomocy dla ofiar franka, na przykład możliwość korzystnego przewalutowania pożyczki. PiS jakby zapomniało, jak gorąco protestowało, gdy Komisja Nadzoru Finansowego kilka lat temu ograniczała bankom możliwość udzielania kredytów w walutach obcych.

Zdaniem przewodniczącego KNF Andrzeja Jakubiaka o przewalutowaniu nie może być mowy, bo to oznaczałoby dla banków gigantyczne straty, które musiałyby sobie odbić na innych klientach. W efekcie wszyscy zapłacilibyśmy za frankowiczów. A problemy ze spłatą pożyczki we frankach ma jedynie 3 proc. kredytobiorców.

Roman Pomianowski, psychoterapeuta z Poznania, od dwóch lat prowadzący grupę wsparcia dla bankowych



MACIEJ KWAPIŃSKI, radca prawny z Poznania, chce przed sądem udowodnić, że klienci nie powinni odpowiadać za wzrost kursu franka

dłużników, tłumaczy, że statystyki nie są w stanie oddać prawdziwej skali problemów. - Widzę osoby, które straciły nie tylko pieniądze, ale i sens życia - mówi. Spotkał np. kiedyś biznesmena budującego autostradę, który wziął kredyt, by rozwijać firmę, ale przez nieuczciwych kontrahentów z dnia na dzień stał się bankrutem. Bank błyskawicznie mu wszystko zlicytował. Poznał też specjalistę z branży PR, który po tym jak stracił pracę i nie mógł spłacać kredytu, jadąc samochodem, patrzył na przydrożne drzewa i zastanawiał się, w które uderzyć, by zginąć na miejscu. Była też kobieta, która wzięła kredyt, by jej córka i wnuki nie musiały już mieszkać w wynajmowanej ruderze. A potem zachorowała, nie mogła zarabiać, więc brała kolejne kredyty na pokrycie tego pierwszego. Wreszcie zaczęła pożyczać w parabankach. Gdy zorientowała się, w jakie wpakowała się kłopoty, próbowała odebrać sobie życie. Na szczęście nieskutecznie.

Samotność dłużnika

- Pracuje ze mną psycholog kliniczny, który na co dzień widzi kobiety po próbach samobójczych. Nikt już nie pyta, czy to ofiary przemocy domowej, męża pijaka. Lekarze pytają tylko: kredyt we frankach czy może chwilówka - mówi Pomianowski. - Dłużnicy są przeraźliwie samotni i bezradni. Z reguły nie z własnej winy. Nie są, wbrew pozorom, głupi i lekkomyślni. Większość była racjonalna, tyle że uwierzyli w zapewnienia bankowców. Byli pewni, że oddają się w ręce fachowców, którzy, owszem, chcą na nich zarobić, ale stosują uczciwe reguły gry. Teraz za to płacą okrutną cenę. Są w pułapce, w spirali zadłużenia, z której naprawdę trudno się wydostać.

Dla niektórych tą ceną jest bezdomność. - Zdecydowanie trafia dziś do nas więcej

ofiar złych kredytów niż kiedyś - mówi Robert Starzyński, sekretarz generalny Monaru. - Z reguły są to osoby w średnim wieku, około 40. roku życia, w sile wieku, jeśli chodzi o rynek pracy. Są w ogromnej traumie, bo straciły nie tylko mieszkanie, w którym rodziły się ich dzieci, stały meble i rodzinne pamiątki.

A teraz nie mają już domu, a często i rodziny, bo ta nie była w stanie unieść ciężaru sytuacji.

Zdaniem Romana Pomianowskiego wielu dramatów upadłych kredytobiorców można by uniknąć, gdyby banki próbowały się dogadać z klientami. Bo klienci chcą się dogadać. - Naprawdę zrobiłem wszystko, by przekonać bank, że chcę spłacać kredyt, tyle że na miarę moich obecnych możliwości - zapewnia Tomasz Sadlik. Nie udało się, więc przekonał pewnego radcę prawnego, by pomógł mu w napisaniu pozwu, choć ten od razu zastrzegł, że Sadlik nie ma żadnych szans.

Czy rzeczywiście? - Ma, jeżeli sąd uzna, że bank działał na szkodę klienta - twierdzi prof. Modzelewski.

- To będzie dla sądu twardy orzech do zgryzienia - uważa prof. Krzysztof Rybiński. - Klient będzie musiał udowodnić, że nie został poinformowany o grożącym mu ryzyku finansowym. A przypuszczam, że rozmowy z doradcami finansowymi, także tymi, którzy pracują dla banków, nie były i nie są nagrywane.

Po obu stronach

Dlatego właśnie Marcin Kwapiński, radca prawny z Poznania, przyjął inną strategię. W przygotowywanym właśnie pozwie przeciw bankowi chce się powołać na Kodeks cywilny, a konkretnie na ten artykuł: „W razie istotnej zmiany siły nabywczej pieniądza po powstaniu zobowiązania, sąd może po rozważeniu interesów stron, zgodnie z zasadami współzycia społecznego, zmienić wysokość lub sposób spełnienia świadczenia pieniężnego, chociażby były ustalone w orzeczeniu lub umowie”.

Kiedy Kwapiński brał w 2006 roku kredyt na mieszkanie, nie miał pojęcia, że ugrzeźnie w takich długach, jakie dziś musi spłacać. - Zewsząd wówczas słyszałem, że tylko frank jest pewny, pewny jak

bank - wspomina. Tyle że nikt mu nie powiedział, jak niepewny jest złoty, za którego musi dziś franki kupować.

Kwapiński zauważa, że polskie sądy wydawały już korzystne dla klientów wyroki, kierując się zasadami współżycia społecznego. Choćby w sprawie polis posagowych z PZU, które wskutek wielkiej inflacji w latach 90. straciły całkowicie na wartości. Sądy uznały wtedy, że ryzykował po równo ubezpieczyciel i jego klient. I dlatego należy mu się odszkodowanie.

- W tym przypadku też tak było, wina leży po obu stronach: banku i klienta - potwierdza Halina Kochalska, analityk Open Finance. - Wszyscy zachłysznieli się kredytami. Dla banków miał to być prosty i łatwy zysk, dla klientów szansa na podniesienie statusu społecznego i prestiżu. Wreszcie mogli poczuć się jak na Zachodzie, wreszcie i oni mogli sobie pozwolić na własne mieszkanie, samochód i wakacje pod palmami.

Dr Mikołaj Lewicki, socjolog ekonomii z UW, który wraz z Mateuszem Halawą prowadził badania dłużników hipotecznych, nie zgadza się z dość rozpowszechnioną opinią, że ludzie brali kredyty beztrąsko. - Dla wielu to była jedna z najważniejszych decyzji życiowych. Nie tylko finansowa, lecz także moralna. Kredyt, tak im się przynajmniej na początku wydawało, pozwalał na niezależność - tłumaczy.

Problem w tym, że marzenia o niezależności oznaczają wieloletnie uzależnienie od banku. Ale również od nieprzewidywalnego losu. - Trafił do nas kiedyś mężczyzna, który zaciągnął wraz z żoną kredyt na mieszkanie, bo chciał stworzyć godne warunki dla rodziny, dla dziecka, które miało przyjść na świat. Nie przewidział tylko, że urodzą mu się trojaczki. Aby całą rodzinę utrzymać, musiał pracować na dwa etaty, z rodziną widywał się coraz rzadziej. Do dziś jego żona, z zawodu księgową, wszystkie wydatki wylicza z arkuszem kalkulacyjnym w ręce.

Najgorsze jest to - dodaje socjolog - że kredyt odbiera ludziom radość życia. Wcześniejszą beztrąskę zastępuje strach przed utratą pracy, przed piętrzącymi się wyrzeczeniami. A tych wyrzeczeń jest więcej, niż się spodziewali. Wielu wręcz balansuje na granicy biedy, byle tylko spłacić ratę - mówi.

Takich osób jak ojciec trojaczków nie ma jednak w rejestrach dłużników. Są w nich ci, którzy już toną. Jak Tomasz Sadlik, do którego na szczęście zgłosił się ostatnio bardzo znany krakowski adwokat. Jest przekonany, że obywatel ma szansę wygrać z bankiem. Co więcej, chce bronić Sadlika

pro bono. Nie tylko dlatego, że wie, iż teraz nie stać go na jego usługi.

Współpraca Weronika Bruździak



Napisz do autorki
anna.szulc@newsweek.pl